

CIERPIENIA MŁODEGO BOROWSKIEGO

ANDRZEJ WIĘCKOWSKI

Każde zbliżenie z twórczością Tadeusza Borowskiego jest drastyczne. Każda lektura jest skandaliczna. Kolejne czytanie wcale nie oswaja, za każdym razem powoduje natomiast, że cisza nagle podchodzi do ust i rośnie w gardle.

Jak każde dzieło, które przekracza granice, czyni ono bezradnym. Szczególnie piszącego o tej twórczości, bo pisanie jest zawsze bezlitosne dla piszącego, a dla piszącego o Borowskim wyjątkowo. Ale w tym przypadku nie jest to zakłopotanie lokalnym chaosem („...ziemi, tej ziemi!”), który trzeba z trudem uporządkować, lecz jest to bezradność kosmiczna, bo dotyczy podstawowych zasad budowy świata. Całego świata.

Świat, który przedstawia Borowski, jest tylko naocznie, a więc połowicznie. Wypełza z druzgocącą siłą z istnienia, ale tylko przeziiera w rzeczywistość. Jest na poziomie ontycznym i nie chce się zontologizować. Masowa śmierć nie ma przecież pojęcia ogólnego, nie można jej do końca ująć w krótkiej wspólnocie terminu, bo rozplątuje się w pojedyncze opowieści, niekończące się historie. Trupy leżą na jednym stosie, ale stos nie jest ich wspólnotą. Nie jest realnością. Ta bowiem nigdy nie występuje jako sama w sobie i z góry obecna, lecz jest zawsze sensem, który ma sens ze względu na poznającego człowieka. I człowiek nie chce wejść poznawczo w to, właśnie to widziane. Widzi, ale kryje się w nierozpoznawaniu, odmawia rozumienia. Sens się rozpada w tym samym momencie, w którym się rodzi. Człowiek, nie mogąc wejść poznaniem w świat, który widzi, jest śmiertelnie bezradny, zagrożony w samym sercu swego istnienia. Zapada się w afazję.

Nie chodzi przy tym o zwątpienie w dotychczasowe światopoglądy: nie ma bowiem żadnych światopoglądów ani nawet poglądów, jest tylko perspektywa przeżycia, a w niej poglądy mogą być tylko ewentualnie przydatne lub nie (na ogół nie) przy skrobaniu brukwi z błota. Nie chodzi o wzruszone fundamenty humanizmu: ich nie ma. Nie chodzi o zachwiane hierarchie wartości: po wartościach leżących w błocie depczą tłumy i nikt ich nie zauważa. Nie ma nawet zwątpienia jako strategii rozważającego umysłu: tutaj albo się żyje, albo bez wątpienia nie.

Nihilizm wobec Borowskiego brzmi jak sztubacki żart, jak pryszcze wobec flegmony. Każdy zresztą znany termin i każde ustalone pojęcie są tutaj nieprzydatne. Godność, odpowiedzialność, poświęcenie, miłość, piękno, braterstwo, wolność taka czy inna (wewnętrzna, zewnętrzna, duchowa...), współczucie itd... Użyte, zgrzytają. Niby coś określają, a jednak wszystkie wprowadzają w błąd. Wszystkie bez wyjątku. Czyli nie ma języka. Nie ma sposobu opisu, nie mówiąc o refleksji. Opisane

przez Borowskiego nie jest opisem w języku tradycyjnych znaczeń. Opisane przez niego wciąż czeka na znaczenie. Opisane przez niego wciąż pulsuje nieoznaczonością. I to jest ta straszliwa siła dzieła Borowskiego: nieoznaczoność. Nieoznaczoność do dzisiaj, mimo że to już tyle dziesięcioleci minęło.

Wprawdzie, co przecież jest oczywiste, są opisane w tym dziele poszczególne czynności, konkretne sytuacje, postaci porozumiewają się, pracują, odpoczywają, handlują, oszukują, kradną itd. (tak często podnoszony przez krytykę behawioryzm) – i opis tych działań jest konkretny, prosty i precyzyjny, bo te działania też są proste. Ale jednocześnie ten konkret i ta prostota, ta powszedniość – to tylko larwy nieznanych jeszcze znaczeń, które żerują na trupie rzeczywistości. Której? – obozowej, czy tej za drutami? Czy może jednej i drugiej? Ich obu zarażonych totalitaryzmem? A może innych, rzekomo niezarażonych, także? To również nie jest pewne i ten brak pewności nie dotyczy tylko tamtego czasu wojny, co jest już problemem wysokiego piętra nieoznaczoności. I wielkości tej prozy otwierającej te wszystkie niebezpieczne perspektywy.

Na pierwszym, obozowym planie, niejako na parterze, mamy pierwszy kłopot z nieoznaczonością, kłopot najmniejszy, choć także nierozwiązywalny: nie jest mianowicie możliwe dla kogoś z zewnątrz, bez bezpośredniego doświadczenia obozowego, by w pełni były dlań zrozumiałe kody obozu (przepisy, struktura, wewnętrzne mechanizmy administracyjne, stosowane technologie, zwyczaje, nazwy, oficjalne i żargonowe określenia...). Ta wiedza otwarta jest dla profanów tylko teoretycznie i jeśli nie była ona egzystencyjnie w działaniach przekładana na biologiczny język życia, jest tylko pustym regulaminem, który nie dorasta do miana przewodnika, bo profani bez doświadczenia nie wiedzieliby, jak tych kodów używać, jak być regulaminowym, jak być „genetycznym” więźniem, jak pozostać żywym. Więc czytamy Borowskiego już na parterze bez pełnego zrozumienia.

Na wyższych piętrach mamy olbrzymie bogactwo coraz większych pojęciowych uogólnień ludzkiej kultury, o których już wspominaliśmy, że tutaj się nie sprawdzają, że ludzą rzekomo utwierdzoną przez tradycję prawdziwością. Ich wzniosłość sięga wysokości wieży strażniczej, a doniosłość drutów wysokiego napięcia. Ponad tymi przestrzennymi wymiarami ciąży dymem krematoriów kamienne niebo.

O cywilach prowadzonych do miejskiego aresztu koło obozu, czyli także o nas prowadzonych do aresztu lektury jego dzieła, pisze Borowski: *Ci cywile są śmieszni. Reagują na obóz jak dziki na widok broni palnej. Nie rozumieją mechanizmu naszego życia i wietrzą w tym wszystkim nieprawdopodobne, mistyczne, coś ponad ludzkie siły. Pamiętasz, jak usiadłaś w przerażeniu, gdy Cię aresztowano, pisałaś mi o tym? Ja czytałem u Marii Wilka stepowego (ona też dobierała lekturę), ale nie bardzo wiem, co i jak. Dziś za pan brat z nieprawdopodobnym i mistycznym, mając na co dzień krematorium, tysiącami flegmony i gruźlicę, poznawszy, co to jest deszcz i wiatr, i słońce, i chleb, i zupa z brukwi, i praca, aby nie podpaść, i niewolnictwo, i władza, będąc, że tak powiem, pod rękę z bestią – patrzę na nich z odrobiną pobłażania, jak uczony na laika, wtajemniczony na profana¹.*

Ale jest jeszcze jeden wymiar ponad tymi ograniczającymi wymiarami. Wymiar całości. Borowskiego twórczość nie jest dziełem filozoficznym, lecz jak filozofia pyta o całość naszej sytuacji w świecie. I jest dowodem na nieusuwalną konieczność metafizyki. Czy jest świat poza granicą drutów? To pytanie jest najbardziej zasadnicze. Po Auschwitz to jest pytanie najważniejsze, chociaż całkowicie zapomniane. Nie wolno już pytać o to, czy świat istnieje – ten spór niewart jest rozstrzygnięcia. Warto teraz pytać dociekliwie na różne sposoby, filozoficzne i niefilozoficzne: czy za drutami coś jest? Czy możliwe jest życie poza obozem?

Z flegerni, która ma bardzo białe, takie trochę niemiejskie ściany, betonową więzienną podłogę i dużo, dużo trzypiętrowych prycz, widać doskonale

drogę wolnościową, po której czasem przejdzie człowiek, czasem przejdzie samochód, czasem drabiniasty wóz, a czasem – rowerzysta, pewnie robotnik wracający z pracy. Dalej, ale bardzo daleko (nie masz pojęcia, ile przestrzeni zmieści się w takim małym oknie, chciałbym mieszkać po wojnie, jak przeżyję, w wysokim domu z oknami na pole), są jakieś domy, a potem siny las² – pisze do ukochanej vorarbeiter Tadek.

Ten „siny las” jest tutaj bardzo ważnym określeniem bytu hipotetycznego, niekoniecznie raju, raczej, wybaczenie ten język metafizyki, bytu odsłoniętego w całości. Rzecz jasna, nie możemy nigdy ująć bytu w całości, ale jesteśmy w całości bytu, wśród całości bytu. Jesteśmy i jest nam bezpiecznie i dobrze. Ale to się może zmienić! Jeśli doświadczanie bycia wśród całości bytu, jak opisuje to Heidegger (a jest tu on jak najbardziej na miejscu), mogłoby w metaforycznym oddaleniu przypominać wędrówkę przez las („siny las”), gdy idąc przez ciemną gęstwinę nagle wkraczamy w prześwit i drzewa rzędna, i światło zaczyna grę z cieniami (wkraczamy z lasu do obozu)... i... *Jesteśmy zawieszeni w trwodze. Mówiąc wyrażniej, trwoga nas trzyma w takim zawieszeniu, ponieważ powoduje wyślizgiwanie się bytu w całości. Stąd to my sami, ci oto bytujący ludzie, znajdując się wśród bytu, wyślizgujemy się razem z nim. Oto dlaczego w istocie rzeczy nie „mnie” czy „tobie” jest nieswojo, ale „komuś” tak jest. Wstrząsane w swym zawieszaniu pozostaje tu tylko czyste bycie – oto czysta przytomność, która nie może się oprzeć o nic.*

Trwoga odbiera nam mowę. Ponieważ byt w całości wyślizguje się i tak właściwie narzuca nicość, przeto milknie wobec niego wszelkie stwierdzenie, że coś „jest”. I to właśnie, że przytłoczeni trwogą usiłujemy tę pustkę milczenia zappełnić przez dowolną, przygodną gadaninę, jest tylko świadectwem obecności nicości³ – pisał Martin Heidegger.

Zwyczajna apokalipsa. Nie ma chyba lepszego określenia fenomenu twórczości Tadeusza Borowskiego. Andrzej Werner użył tego paradoksu w tytule swojej książki⁴. Bo już nawet tytuły arcydzieł

Borowskiego naprowadzają na ten paradoks, są jego konkretnymi przykładami: *U nas w Auschwitzu, Proszę Państwa do gazu* – absolutnie skandaliczne, wywołujące od początku pełną nieporozumień gwałtowną krytykę – afiszują się swą wewnętrzną treścią swojskości w piekle. Piekło przywoływane jest przez wielu komentatorów⁵, ale istota problemu, o ile słowo „problem” mogłoby tu być na miejscu, polega na tym, że jest to piekło, w którym można było, a może nawet trzeba było się zadowolić. Trzeba było chodzić, nie – bez żadnego „trzeba było”, po prostu chodziło się „pod rękę z bestią” („czysta przytomność, która nie może się oprzeć o nic”, i jest tak „komuś”, czyli jakby mnie oraz – mnie „chodziło się”).

Nie z Bestią, tylko z bestią. Pospolicie wszechświatową. W tym momencie puszcza nerwy każdego zdrowego rozsądku, nie mówiąc o oburzonych humanistach, którzy ćwiczą się nieustannie w pate-tycznej martyrologii.

Zdrowy rozsądek jest odniesieniem nie tyle koniecznym, co po prostu niezbywalnym i funduje każdą filozofię „stawiającą go na głowie”. Nie przyjmuje on rzeczywistości obozowej za możliwą, on ją wyklucza jako fantasmagorię z możliwości realnego bytu. Dlatego więźniowie, którzy przeżyli, nie opowiadali o swoich przeżyciach, milczeli. Natomiast ci, którym dane było przywdziać togę martyrium, tkwili w niej z przyzwyczajenia retorycznego i z braku innych środków wyrazu. No bo jak to komuś opowiedzieć?: *Stoimy kiedyś z rana na arbeitskomando, koło nas sonder, chłopcy jak byki, zadowolone z życia, bo jakże? Przy mnie mój przyjaciel, Mojsze, ten od gryzioków. On z Mławy i ja z Mławy, wiecie, jak to jest, przyjaciele i handlarze, pewność i zaufanie. „Co u ciebie, Mojsze? Coś taki nieswój?”. „Dostałem fotografię swojej rodziny”. „To czego się martwisz, to dobrze”. „Żeby ty się wściekł z takim dobrze, ja ojca do komina posłałem!”. „Nie może być!”. „Może, bo posłałem. Przyjechał z transportem, zobaczył mnie przed komorą, zagniałem ludzi, rzucił mi się na szyję, zaczął mnie całować i pytać, co to*

będzie i że on jest głodny, bo dwa dni jadą bez jedzenia. A tu komandoführer krzyczy, żeby nie stać, że trzeba pracować! Co miałem robić? „Idź, ojciec – mówię – wykąp się w łaźni, a potem pogadamy, widzisz, że teraz nie mam czasu”. I ojciec poszedł do komory. A zdjęcia wyciągnąłem potem z ubrania. I powiedz, gdzie tu jest dobrze, że mam fotografie?”.

O ile dla Nałkowskiej w *Medalionach* dzieci bawiące się w palenie Żydów są granicznym przykładem piekła, za którym już nic gorszego nie ma i nie można już nic powiedzieć, to Borowski właśnie opowiada ze środka tego maksymalnego zła, jak się w nim żyje. I tak na co dzień, a nie od apokaliptycznego święta obserwatora, który doznał wtajemniczenia, bo dotknął granicznego zła na zewnątrz swojego eleganckiego i pachnącego humanizmu. Zwyczajna apokalipsa od środka, gdzie dzieci bawiące się w palenie Żydów nie są (nie byłyby) przenikającym na wskroś objawieniem zła, lecz (mogłyby być) zwyczajnym faktem spośród wielu innych, na które nikt nie zwraca szczególnej uwagi. To spojrzenie od wewnątrz, podczas spaceru z bestią, to zupełnie inna przestrzeń, w której Nałkowska nigdy się nie znalazła, a jej wybitne, przejmujące przecież *Medaliony* wydają się z perspektywy opowiadań Borowskiego niesłychanie pocziwe, w tej pocziwości wręcz trochę śmieszne (*patrzę na nich z odrobiną pobłażania*, pisze Borowski w cytowanym fragmencie o „cywilach”).

Groza i patetyczna cisza *Medalionów*, w której rozsypuje się ostatnie tabu, załamują się; ta cisza, ta cisza, która wzmaga się potężnie na wyżyny sumienia, nagle wiotczeje. Nie może wybrzmieć we wzruszającej kadencji. W tę ciszę włącza się bowiem beczelnie narracja Borowskiego o pospolitości „naszego Auschwitzu”, co przekracza, wydawałoby się, nieprzekraczalne już oto teraz granice tragizmu. Przekracza pokracznym krokiem niskiego numeru, starego więźnia, „ojca założyciela” Auschwitz, który dumny jest ze swego obozu (lokalny patriotyzm) i dziwi się, że w innych obozach można wytrzymać. U nas w Auschwitz jest super, inne obozy śmierci się nie

umywają – stary więzień jest o tym autentycznie przekonany i przekonanie to wyraża w kaczkowatym chodzie wycieńczenia i zadowolenia, unicestwienia i dumy. *A ci ludzie... Widzisz, oni przeszli straszną szkołę obozu, tego obozu z początku, o którym krążą legendy. Ważyli po trzydzieści kilo, byli bici, wybierani do gazu – rozumiesz, dlaczego mają teraz śmieszne, wcięte marynarki, swoisty, kołyszący się chód i pochwałę Oświęcimia na każdym kroku?*⁷. Nie wiem, czy adresatka pytania to rozumiała, pewnie dobrze rozumiała. Ja rozumiem, a jednocześnie całkowicie nie rozumiem. Ta paradoksalna podwójność nie jest możliwa do ominięcia. To się tak musi obracać.

Odczłowieczenie, pozbawienie człowieczeństwa – te określenia obozów są słuszne, ale także nie są słuszne. Borowskiego kształt piekła nosi bowiem wszelkie cechy ludzkie. Z Nałkowską łączy go jej słynne motto, które bez cudzysłowu przywołamy, że ludzie ludziom zgotowali ten los. Ale jego treść jest już inna. Gdy Nałkowska milknie, bo już skończyły się miary i spłonęły w krematoriach wszystkie wartości, Borowski rozpoczyna szczegółową, drobiazgową wręcz opowieść o życiu. Gdy Nałkowska wchodzi na górę patosu, Borowski opowiada historyjki, jak Mojsze zdobył rodzinne fotografie.

W tej gadaninie bez cienia heroizacji, w tym strasliwym огоło-
ceniu życia z człowieczeństwa, paradoksalnie zaszczebiało się wła-
śnie człowieczeństwo; krystalizowało się na jego ostatecznym, fizjo-
logicznym dnie; wyrastało z otchłani głębszej niż najbardziej apoka-
liptyczne wizje; krzewiło się pokątnie i zwyczajnie w tym „naszym”
(więźniów, nie czytelników) piekle, w tym „naszym” Auschwitzu, na
stosach trupów, zakwitało w oczach śmierci. Bo takie bezwarunkowe
jest życie, tak mało cnotliwe, tak bardzo rozpustne, że zasadzi się
na najbardziej zgniłym korzeniu, obrośnie swoim żywiołem każdą
najbardziej nawet pustą moralnie próżnię. I nikt do tej chwili, do hi-
storycznej chwili dzieła Borowskiego, tego nie opisał, bo tam jeszcze
nikogo nie było. Jeszcze czegoś takiego historia świata nie znała.

Do tej pory świat zapełniali bohaterowie. Jeszcze nie wynaleziono więźniów „naszego Auschwitzu”. To bardzo bolesne i niezrozumiałe, że ciągle oskarża się Auschwitz o nieludzką. A przecież doniosłość doświadczenia Auschwitz polega nie tylko na tym, że ludzie ludziom zgotowali ten los – to już wiemy i często sobie to przypominamy (a tu też są ludzie i nic, tylko ludzie, nieposkromiona człowieczość). Ale że w tym tak zgotowanym losie ludzie potrafili zachować aż tyle człowieczeństwa, to jest odkrycie jeszcze bardziej doniosłe, najczęściej słabo uświadomione. Aż tyle człowieczeństwa.

Przecież Auschwitz to ultymatywna miara człowieczeństwa. Człowieczeństwa w piekle.

Jarosław Iwaszkiewicz w przedmowie do *Pożegnania z Marią* (wydanie z 1961 roku) napisał: *Wydaje się, że nikt poza Borowskim nie sięgnął tak głęboko w istotę hańbiącej ludzkość sprawy, nikt nie potrafił tak precyzyjnie narysować metod i skutków upodlenia człowieczeństwa. [...] Wydaje się, że nowele Borowskiego nie dadzą się porównać z żadną literaturą świata. Jest to szczytowe osiągnięcie w tego rodzaju piśmiennictwie.* Oczywiście, będzie się porównywać Borowskiego z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, ale będą to porównania często powierzchowne, bo różnice są tu ogromne. Borowski nie osądza. Herling-Grudziński w *Dzienniku...* notuje to jako grzech: *O rzeczach nieludzkich mówi się w Pożegnaniu z Marią tak, jak gdyby były najzupełniej normalne, naturalne i ludzkie. Przez całkowite usunięcie analizy motywów postępowania ludzkiego i własnego komentarza autorskiego Borowskiemu udało się pozbawić człowieka człowieczeństwa i dojrzeć w nim mechanizm czystych odruchów biologicznych*⁸. Jest to nie tylko stwierdzenie podstawowej cechy twórczości Borowskiego, lecz także niezgoda na brak wartościującego sądu.

Dyskusyjną kwestią jest ten „czysty” w przytoczonej ocenie mechanizm odruchów biologicznych. Borowski ukazuje bowiem także, właściwie nie także, tylko ukazuje po prostu jakiś nieoznaczony

wprawdzie, ale wyraźnie wyczuwalny obszar ponad czystym odruchem biologicznym. „Chodzenie z bestią pod rękę” nie jest przecież przejawem czystego mechanizmu odruchów biologicznych. Wręcz przeciwnie. Herling-Grudziński jakby tego nie umiał albo nie chciał zobaczyć. Ale widzi pewną, twardą, ogólną perspektywę: [...] *złudzeniem jest pogląd, że pisarz może osiągnąć taki stopień „rzeczowości”, na którym zatracą już wszelki stosunek do opisywanych rzeczy. „Nie mieć żadnego stosunku”, wykształcić w sobie według recepty Jüngera „daltizm wobec ludzkich wartości” znaczy stanąć otwarcie i niejako „programowo” na ruchomym piasku nihilizmu [...]. I powstaje pytanie, w jakiej mierze ten obraz człowieka obozowego stał się z biegiem czasu obrazem człowieka w ogóle, czyniąc z zasad życia w obrębie odrutowanej zony dekalog praw rządzących również światem poza drutami. Granica między stanem wyjątkowym i jego „uogólnieniem filozoficznym” jest tu bardzo niewyraźna, łatwa do przekroczenia*⁹.

Herling-Grudziński w *Innym świecie* nieraz osądza słabości ludzkiej natury z perspektywy „człowieka w ogóle”, który nie powinien się zdegradować do poziomu człowieka obozowego poza obozem. Nawet gardzi upadłymi w łagrze. Nie widzi takiej potrzeby, by wybaczać upadek człowieczeństwa zgniecionego łagrowym piekłem. Interesuje go heroiczność w takich skrajnie nieludzkich warunkach. Ona powinna być wzorcem. Ale nie otwierajmy tu tego kolejnego labiryntu, jesteśmy dostatecznie w pierwszym zagubieni. (O różnicach i podobieństwach dzieła Tadeusza Borowskiego i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego trzeba by było wreszcie dogłębnie podyskutować, a dobrym przyczynkiem – nie ma na ten temat zbyt bogatej literatury, nie licząc bogactwa szkolnych wypracowań – do takiej debaty mógłby być esej Stanisława Stabro¹⁰).

119198 nie osądza, nie ma w sobie żadnej takiej wyżyny. Nie przychodzi mu w ogóle do głowy, żeby być sędzią. Sam był człowiekiem nadzwyczajnym wedle relacji współwięźniów: pełen poświęcenia,

koleżeński, wspomagał innych i podtrzymywał ich na duchu. Nie chciał przetrwać za wszelką cenę: mógł być flegerem, sanitariuszem w obozowym szpitalu, co ogromnie zwiększało szansę na przetrwanie, ale dobrowolnie zgłosił się do pracy, gdyż nie chciał zabierać miejsca bardziej potrzebującym wytchnienia (choć niektórzy tę bohaterską rezygnację relatywizują, bo pracując mógł łatwiej jakoby przemycać listy do ukochanej – ale to z kolei przykład heroicznej miłości: narażał życie, by słać listy miłosne; kto by narażał życie, żeby pójść na pocztę wysłać list? jakże to nie miało być przykładem człowieczeństwa).

119198 poznał wszystko, co mógł poznać więzień Auschwitzu. Doświadczył, że *głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka jak na obiekt do zjedzenia*. I pisał wiersze, piosenki, kolędy. I pisał listy miłosne, i wysyłał je z narażeniem życia... Wspomina, że od pierwszych dni uwięzienia, na Pawiaku: *chodziłem po celi i w rytm kroków układałem wiersze. Jeden z nich wpisałem towarzyszowi z celi więziennej do Biblii, ale z innych – były to pieśni horacjańskie – pamiętałem tylko strofki, jak ta z wiersza do przyjaciół z wolności: „Przyjaciele z wolności! Pieśnią więzienną was żegnam po to, byście wiedzieli, że nie odchodzę z rozpaczą. Bo wiem, że po mnie zostanie i miłość, i moja poezja. I póki życia waszego, wspomnienie u przyjaciół”*¹¹. Czy w tym jest jakieś obozowe odczłowieczenie?

Gwałtowna niezgoda i oburzenie powojennych czytelników na prozę Borowskiego była tłumaczona ich brakiem kompetencji literackich, które powodowały utożsamienie vorarbeitera Tadka, narratora opowiadań, z Tadeuszem Borowskim, autorem. Ponadto – pouczała krytycy – nie odróżniano dokumentu od prozy artystycznej. Autorowi nie można zarzucać nihilizmu moralnego i znieważania męczenników, bo to przecież nie autor, tylko vorarbeiter Tadek, narrator, nie dziwi się, że strażnicy wystawiają sobie więźniów na strzał dla premii pięciomarkowej, i nie dziwi się, że żydowskie häftlingi są bardzo zatroskane przerwami w dostawach Żydów na rampę, bo

przecież nie przeżyją bez plądrowania bagaży przybyszów (itd., itp.). A poza tym – powiadali subtelni znawcy literatury – nie jest to dokument, tylko konstrukt artystyczny, produkt wyobraźni, posługujący się przejawskawieniem i prowokacją.

To przesunięcie, zrzućcie całą rzekomą winę z Borowskiego na vorarbeitera Tadka, a z faktyczności na artystyczność, było i jest do dzisiaj całkowitym skandalicznym nieporozumieniem! Jest ukrywaniem problemu, jeśli słowo problem mogłoby tu coś znaczyć, mówiąc eufemistycznie. Mówiąc wprost: jest ukrywaniem zbrodni. Jest też ucieczką przed szantażem tchórzliwego martyrologicznego patosu, który jako styl nazbyt często stawał się prymitywnym narzędziem ideologii dla tłumów, a indywidualnie kołtuńskim lenistwem umysłowym, które zbrodni nie chce za wszelką cenę zauważyć. Jeśli ktoś jednak zdobyłby się na otwarcie szafy z piśmiennictwem o Borowskim, z której cuchnie od dziesięcioleci, to wreszcie zobaczyć musi, że to nie żaden konstrukt artystyczny, narrator-vorarbeiter Tadek nie dziwi się strażnikom i więźniom, to 119198 nie dziwi się. Nie dziwi się wraz ze wszystkimi innymi numerami. Nie dziwi się ani strażnikom, ani współwięźniom, że są tak straszliwie, piekielnie zatroskani o siebie w odruchowym zabijaniu innych. To jest zbrodnia, którą próbowało się i próbuje nadal ukryć podmieniając vorarbeitera Tadka za Borowskiego, literaturę za dokument.

No tak: jest to literatura z narratorem! Ale czy to coś zmienia w sprawie? I co to ma do rzeczy? Taka podmiana mogłaby przekonać o niewinności Borowskiego tylko zawziętych obłudników! Borowski i wszystkie inne numery wiedzą przecież aż nadto dobrze, że są ofiarami i współnikami zbrodni. Nigdy nie wyzwolą się z poczucia winy, że żyją. Prawdziwe życie bez winy mieli tylko w obozie. Jeżeli się tego nie pojmie, to właściwie na „wolność” nie można wypuścić żadnego więźnia, bo ci, którzy przetrwali, złamali wszystkie bez wyjątku normy etyczne. Żadnemu z nich, z tych ocaleńców, nie można wybaczyć

z perspektywy europejskich norm moralnych, jeśli chciałoby się do tego podejść literalnie. Dipisi mieli to poczucie, że patrzy się na nich także w ten pragmatycznie prostacki, amerykański sposób: ofiary, ale i współnicy zbrodni.

Bramą na wolność było przekonanie, że ofiary były także ofiarami jako współnicy zbrodni. Rzadko sobie ją sami współnicy uchylali. Ileż w tym wzniosłego człowieczeństwa, w tym milczącym braku przebaczenia dla siebie samego.

A tu patrz: najpierw jedna wiejska stodoła pomalowana na biało i – duszą w niej ludzi. Potem cztery większe budynki – dwadzieścia tysięcy jak nic. Bez czarów, bez trucizn, bez hipnozy. Paru ludzi kierujących ruchem, żeby tłoku nie było, i ludzie płyną jak woda z kranu za odkręceniem kurka. Dzieje się to wśród anemicznych drzew zadymionego lasu. Zwykle ciężarowe samochody podwożą ludzi, wracają jak na taśmie i znów podwożą. Bez czarów, bez trucizn, bez hipnozy. Jakże to jest, że nikt nie krzyknie, nie plunie w twarz, nie rzuci się na pierś? Zdejmujemy czapkę przed esesmanami wracającymi spod lasu, jak wyczytają, idziemy z nimi na śmierć i – nic? Głodujemy, mokniemy na deszczu, zabierają nam najbliższych. Widzisz: to mistyka. Oto jest dziwne opętanie człowieka przez człowieka. Oto jest dzika Bierność, której nic nie przełamie. A jedyna broń – to nasza liczba, której komory nie pomieszczą¹².

Reduta moralna „cywilnego świata”, z której między innymi atakowano Borowskiego za bezczeszczenie ofiar i znieważanie męczenników, wymurowana jest liczbą, której nie pomieściły komory. Liczbą, przed którą komory są zakryte oburzeniem na ich istnienie (nic tak nie ukrywa obozu jak oburzenie, że istniały, istnieją). Liczbą, która nikogo konkretnie nie broni, strzeże tylko swej wielkości. Liczbą zatem, z której obóz się wyłonił jako element cywilizacji i kultury europejskiej.

Reduta moralna wymurowana liczbą, której nie pomieściły komory, broni „cywilny świat” i jednocześnie jest wałem ogradzającym

obóz, bo nie bierze go pod uwagę, ukrywa jego istotę, nie chce, nie umie wyciągać żadnych, ale to żadnych konsekwencji z doświadczenia obozu. Grodzi to doświadczenie drutem kolczastym określić „nie-ludzkie”, „odczłowieczone”. I choć obóz jest praktykowany w różnych formach powszechnie i bez przerwy (nieodmiennie z tą samą zaprawą liczby, której komory nie pomieszczają), to zawsze jest odrażającym wyjątkiem. Wpółśród czego? *Dzikiej Bierności, której nic nie przełamie?*

Jan Błoński w szkicu pt. *Borowski i Herling. Paralela* pisał: *Co gorzej, ta cywilizacja wcale się naprawdę nie przeciwstawiła zbrodni obozów! Obozy doprowadziły tylko do skrajności wiele zasad, na jakich ta cywilizacja została zbudowana. Zasadę konkurencji, która umożliwiła rozkwit kapitalizmu. Racji stanu, która dobro zbiorowe przedkłada nad interes jednostki. Zasadę przystosowania i hierarchii opartej na pieniądzu i podziale pracy. Państwowego prawa, które przechodzi do porządku nad przeświadczeniami lokalnych (drugorzędnych) wspólnot, często zbędnych, niekiedy szkodliwych... Wreszcie zasadę maksymalizacji umiejętności technicznych, która zapewni sukces i błogostan! Takie są prawdziwe przyczyny – mniemał Borowski – dla których sędzia bez zmrużenia oka wypełniał obóz, przedsiębiorca czerpał zeń zyski, oficer zaś posyłał zbędnych niewolników do krematorium gwiżdżąc radośnie Mozarta. Obóz nie jest pomyłką historii europejskiej. Jest jej nieuchronnym produktem, spokojnie akceptowanym przez najbardziej rozwinięte (więc najbardziej obłudne) społeczeństwa świata¹³. I dobrze wie o tym vorarbeiter Tadek, który wbrew tezie o czystym behawioryzmie prozy Borowskiego wygłasza eseje o europejskiej kulturze, o piramidach i niewolnikach. Wygłasza wiele traktatów. Jaki czysty behawioryzm?*

Tadeusz Drewnowski w swojej znakomitej monografii¹⁴ o Tadeuszu Borowskim wskazuje, że jest on symbolem pokolenia, nowym i tragiczniejszym jeszcze Baryką, a podobieństwo jego losów i Cezarego jest ogromne. To odniesienie do polskich mitów nie powinno zakrywać podobieństwa do mitu podstawowego. Do Orfeusza. To nawet dziwne, że

nikt (o ile się orientuję) nie zobaczył w Borowskim Orfeusza. Lesław M. Bartelski w *Genealogii ocalonych*¹⁵ rozdział poświęcony Tadeuszowi Borowskiemu tytułuje pięknie *Wpiekłwstąpienie*, ale nie skłania go to w kierunku mitu. Drastyczna lokalność historyczna Auschwitzu, bezpośredni ogrom zbrodni i cierpienia nie pozwalają jakby na metafory i symbole, a przywoływanie mitu o Orfeuszu i Eurydyce mogłoby się wydawać wplataniem rokokowej śpiewogry w obozowe baraki.

Świadomi niebezpieczeństw patrzymy na Borowskiego, jak wedle jego i innych relacji czeka daremnie na umówiony telefon od ukochanej. Usypia nad ranem. Następnego dnia, wiedząc już (musiał być pewien), co się wydarzyło, idzie do mieszkania, w którym poprzedniego dnia Niemcy w kotle aresztowali Marię. Przed wejściem widzi niezwykłą ilość niedopałków i chyba ślady krwi. Zapukał do drzwi umówionym kodem, otworzyli mężczyźni z pistoletami. Ukochana nie zdołała uciec przed gwałtem aresztowania, została zabrana do piekła poprzez różne jego piętra, a Kochający świadomie za nią do tego piekła poszedł. Świadomie, w pełni świadomie, żadnego przypadku, wstąpił do piekła.

Gwałcicielem był Niemiec, ten czy ów, jeden z liczby, jeden z umundurowanych, jeden z trybów maszyny III Rzeszy, którego szablonowy portret rysuje Borowski (w tym przypadku jest to kierownik kursu flegarów w Auschwitzu) w ten sposób: *Adolf jest niezwykle sympatyczny i nie z tego świata, ale jako Niemiec, nie zna proporcji między rzeczami i zjawiskami i czepia się znaczenia słów, jakby one stanowiły rzeczywistość. Mówi „Kameraden” i myśli, że my istotnie jesteśmy Kameraden, mówi „zmniejszyć cierpienie” i myśli, że to jest możliwe. Na bramie obozu spleciono z żelaza litery: „Praca czyni wolnym”. Oni chyba w to wierzą, ci esesmani i ci więźniowie, którzy są Niemcami. Ci, co się wychowali na Lutrze, Fichtem, Heglu, Nietzschem*¹⁶.

A więc tak szablonowo wygląda gwałciciel Adolf i jest łudząco podobny do gwałciciela Eurydyki, Aristajosa, syna Apolla i nimfy Kyrene, wychowanka Chejrona, męża Autonoe, opiekuna stad, ogrodów

i pasiek. Ten oto wykształcony, z dobrego rodu, spokojny pszczelarz, ogrodnik, hodowca, cywilizator, szerzący kulturę w najbardziej elementarnym znaczeniu, a więc żaden dzikus, żaden barbarzyńca, był sprawcą gwałtu na Eurydyce i gwałt ten w ten czy inny sposób spowodował jej śmierć, o czym Aristajos się dopiero później dowiedział i czego żałował jak nieszczęśliwego wypadku. Gwałciciel Eurydyki jest zawsze ten sam, a wypadki się zdarzają i mogą być nawet katastrofami.

Wpiekłównstąpienie Borowskiego zaczyna się w Warszawie, ale potem piętra schodzenia poety do piekła są wielorakie, są to miejsca (Hades ma swoją topografię), ale też doświadczane stany i stadia doświadczenia. W piekle Borowski pisze wiersze, listy miłosne, które z narażeniem życia wysyła... A więc oczywiście do tylko domniemanej, bo takie jest wysyłanie, do przepowiadającej nieszczęście hipotezy, ma w sobie zapisaną możliwość fałszywego adresu do prawie zmarłej na oddalenie, niekoniecznie na flegmonę, tyfus, czy zapalenie płuc – do nieobecnej wysyła listy ponad czasem i przestrzenią, a nie śpiewa pieśń żywej, tu obok obecnej. Wysyła zatem listy miłosne do domniemanej Ukochanej w piekle, gdzie hipoteza musi swoim podziemnym mrokiem dotknąć do żywego Ukochanie. Tragiczne i wielkie to zmagania. Bo przecież nie tylko w świętych przestrzeni i czasie mitu, ale przez dwa lata w realnym piekle. Nie tylko w Ukochaniu wypełniającym myśli i odczucia, ale w rzeczywistości, w której umiera się z głodu i wycieńczenia. Ta jednoczesność!

Nie wiadomo, jak bardzo wzruszył bogów Borowski swoimi wysyłanymi pieśniami, wiadomo, że wyprowadził Ukochaną na świat, posyłając jej obok listów z narażeniem życia zdobyte leki, które leczą flegmonę i zapalenie płuc, ale są nieskuteczne na chorobę podstępnie toczącą Ukochanie. Ona wychodzi z piekła w Szwecji, on w Monachium. Potem spotykają się w Warszawie, pobierają, rodzi się im dziecko. Czyli jakby nie tak, niezgodnie ze strukturą mitu. Czyżby się tu coś pokreśliło, pomieszało?

Ale spokojnie. Wszystko się zgadza, albo prawie wszystko. To tylko pozór pomieszania. Właśnie bowiem pozór Borowski wyprowadza na powierzchnię. Zgodnie z dyrektywą mitu. Nie umiał wyprowadzić Ukochanej. Pisz o tej klęsce wiersz, nie mający sobie równych w światowej liryce, który jeśli można porównać, to tylko do Rilkego poematu *Orfeusz, Hermes, Eurydyka*. Tam zawiązująca się w istnienie Eurydyka, przedwcześnie ujrzana, rozpada się pod agresywnym ciśnieniem obserwacji, znika tym razem zgwałcona miłością męża, jego nierozważnie brutalną tęsknotą.

Poemat Rilkego jest słynny, jego strofy rozległy się szeroko. Borowski natomiast pisze wiersz, który jest jakby ukryty, niezauważony. Jest krótki, szary jak brudny pasiak, a przecież wędnie przy nim piękno Rilkeńskiego. Przywalony makulaturą martyrologii i wypracowań maturalnych, wiecie żywot w nicości. Ten przejmujący dokument nieustannej klęski Orfeusza, który znów nie mógł się nie obejrzeć, tym razem „na dym człowieka ponad wiatrem”, jest też wyrokiem śmierci dla poety, jego listem pożegnalnym, testamentem samobójcy. Nie ma już żadnych możliwości. Być może jest szansa na wyprowadzenie Eurydyki, ale nie ma żadnej na wyprowadzenie Ukochanej. Bowiem jego miłość jest zżarta ogniem krematorium, więc czym ją wyprowadzi? Jeszcze wprawdzie Orfeusz jest, ale jego głowa śpiewająca o miłości już odpłynęła i krąży w nicości, potem nawet w brudnej pianie publicystyki. Więc jeśli, Eurydyko, jesteś, mów do domniemanej Orfeusz, to pamiętaj, że ja też jestem, co przecież oznacza: pamiętaj o mnie, gdyż jestem umarły. Więc do mnie nie idź.

Kluczowym wydarzeniem, które zabiło Ukochaną w Tadeuszu Borowskim i Tadku-vorarbeiterze, i w innych numerach, były być może, być może – powtarzam, by, to „być może” wreszcie zobaczyć w jego ukrywającym się znaczeniu – te przejeżdżające ciężarówki z nagimi Eurydykami obok dziesięciu tysięcy Orfeuszy. To jest jedyny przypadek w liczącej wiele tysięcy lat historii mitu, kiedy bohaterowie

przemienili się w wielkie liczby. Nagie Eurydyki jadące ciężarówkami potęgowały w liczbie swoją kobiecość, a dziesięć tysięcy Orfeuszy mogło się obejrzeć i dokładnie, w gwałtownych szczegółach tę kobiecość zobaczyć, jak odjeżdżała wieziona przez Hermesów ciężarówkami. I potem wielka liczba Orfeusza, powoli ściągająca się w jedność, patrzyła na dymy i odkrywała się jako ta, której jeszcze nie pomieściły, tym razem nie zdołały pomieścić komory. (To jest ostatni z wielu w tym tekście cytat z *U nas w Auschwitzu*). *I wtedy z FKL-u nadjechały samochody pełne nagich kobiet. Kobiety wyciągały ramiona i krzychały: – Ratujcie nas! Jedziemy do gazu! Ratujcie nas! I przejechały koło nas w głębokim milczeniu dziesięciu tysięcy mężczyzn. Ani jeden człowiek się nie poruszył, ani jedna ręka nie podniosła się. Bo żywi zawsze mają rację przeciw umarłym.*

Pożegnanie z Marią

Jeżeli żyjesz – to pamiętaj,
że jestem. Ale do mnie nie idź.
W tej nocy czarnej, opuchniętej
śnieg się do szyb płatami klei.

I gwizdże wiatr. I nagi kontur
drzew bije w okno. I nade mną
jak dym zagasłych miast i frontów
płynie niezmierna, głucha ciemność.

Jak strasznie cicho! Po cóż było
aż dotąd żyć? Już tylko gorycz.
Nie wracaj do mnie. Moja miłość
jest zżarta ogniem krematorium.

Stamtąd cię miałem. Twoje ciało
w świerzbie, w flegmonie tak się pięło
jak obłok wzwyż. Stamtąd cię miałem,
z niebiosów, z ognia. Przeminęło.

Nie wrócisz do mnie. Razem z tobą
nie wróci wiatr, co mgłą się opił.
Nie wstaną ludzie z wspólnych grobów
i nie ożyje kruchy popiół.

Nie chcę, nie wracaj. Wszystko było
grą naszą, złudą, czczym teatrem.
Krąży nade mną twoja miłość
jak dym człowieka ponad wiatrem.

Świat zmienił bieguny. To Orfeusz nie wyszedł z piekła. Ma nadzieję, domniemywa, że wyjście udało się hipotezie Eurydyki. Więc jeżeli żyjesz – pamiętaj o mnie umarłym i nie idź do mnie, bo wrócisz do piekła. Bo ja, Orfeusz, jestem już jego nieodwołalną częścią. Miłość już się spełniła: *Stamtąd cię miałem. Twoje ciało/ w świerzbie, w flegmonie tak się pięło/ jak obłok wzwyż. Stamtąd cię miałem,/ z niebiosów, z ognia. Przeminęło.*

Orfeusz zmarł młodo. Eurydyka powtórnie wyszła za mąż i dożyła starości. Na pozór, bowiem naprawdę to Ukochana zmarła przed Orfeuszem, zgodnie z doktryną mitu.

Nie ma do czego wracać. Nieodwołalnie jak śmierć.

Taki poemat, bodaj najbardziej wstrząsający wiersz miłosny, jaki kiedykolwiek został napisany przez człowieka, napisany po polsku, jest nawet w polskiej kulturze prawie nieznanym. Jego lektura, jego bolesne i nieznośne echo, musi ponowić pytanie, czy istnieje życie poza obozem?

Podobne pytanie, przynajmniej na pozór, postawił Theodor W. Adorno: Czy można pisać wiersze po Auschwitz? Jest to najbardziej znana, popularna na całym świecie wypowiedź o Auschwitz. Jak każde zdanie upadłe w kulturę szeroką, jest ono błędne. Adorno nie pytał, tylko autorytatywnie stwierdził, wydał werdykt, że *Nach Auschwitz ein Gedicht zu schreiben, ist barbarisch*¹⁷ („pisać wiersz po Auschwitz jest barbarzyństwem”). Z pytaniem to twierdzenie ma jednak coś wspólnego, bowiem otwiera ono kwestię, cały ogromny obszar problemów i pytań z niego wynikających. Cały akapit, z którego ten werdykt jest wyjęty, wygląda w ten sposób: *Kulturkritik findet sich der letzten Stufe der Dialektik von Kultur und Barbarei gegenüber: nach Auschwitz ein Gedicht zu schreiben, ist barbarisch, und das frisst auch die Erkenntnis an, die ausspricht, warum es unmöglich ward, heute Gedichte zu schreiben*¹⁸. („Krytyka kultury znajduje się przed ostatnim stopniem dialektyki kultury i barbarzyństwa: pisać wiersz po Auschwitz jest barbarzyństwem, i to [stwierdzenie – dop. mój, aw] zżera także rozpoznanie, które powiedziałoby, dlaczego jest dzisiaj niemożliwe pisać wiersze”). Adorno wywołał dziesiątki tysięcy komentarzy, dyskusji i odwołań do swego werdyktu. Sam się też do niego przez lata odwoływał, coraz to inaczej interpretował i zmieniał, co już obrosło sporych rozmiarów biblioteką.

Dla nas zderzenie opinii Adorno z wierszem Borowskiego jest graniczną sytuacją współczesnej humanistyki, jej centralnym zagadnieniem, którego nigdy właściwie nie podjęła i od którego nieustannie ucieka. Nie tyle zresztą ucieka jako przed postawionym problemem, bo tak również, ile przede wszystkim poprzez sposób istnienia procedur kulturowych, które problem, jeśli już w ogóle postawiony, ukrywają. Uniemożliwiają jego rozpatrzenie. Spychają go w fałszywe konteksty. Sygnalizowaliśmy już tutaj kulturowy ogląd Auschwitz, który ma na celu ukrycie istoty obozu.

Przy całym podziwieniu dla szlachetnego konfliktu humanizmu zawartego w tej maksymie, można złośliwie i prostacko powiedzieć,

że o wiele bardziej banalne i mniej podatne na dyskusje jest przekonanie, blisko z poprzednim spokrewnione, że po Auschwitz normalne bycie Niemcem nie jest już możliwe. Gdyby wyciągnąć ostateczne (Endlösung) konsekwencje z twierdzenia Adorno, niemieckość powinna by wskutek wyrzutów sumienia popełnić samobójstwo. W praktyce jednak, którą szlachetny humanizm nieraz zbyt lekce sobie waży, niemieckość mogłaby popełnić samobójstwo tylko w wyniku zbiorowego samobójstwa Niemców (Endlösung der Deutschenfrage), więc w praktyce nie zbiorowe samobójstwo, tylko przekleństwo przeszłości towarzyszyło (bo chyba już nie towarzyszy) Niemcom na każdym kroku i o każdej godzinie. Nie mogli oni wykonać żadnego gestu bez znaczenia, ot, gestu po prostu, bowiem wszechobecne było tło, które we wszystkie gesty przemocą znaczenia wtłaczało, wszystkie zachowania weryfikowało, wszystkie myśli i postawy zawężało, ścisłała pętlą stale obecnego podejrzenia.

Niemcy po II wojnie światowej poddani zostali terrorowi oceny poprzez powszechny raster nazistowskiej zbrodni, ale był to – bo już dawno nie jest – głównie terror sumienia zewnętrznego. Chyba na takiej samej zasadzie jak terror wychowania i oświaty (za twierdzeniem Adorno stał cały rozwinęty przez niego program wychowawczy) miał się on stać, ten zewnętrzny cenzor, sumieniem wewnętrznym Niemców. Był to jednak terror bez sankcji, terror na ogół bezsilny i miękki. Przymusowe oglądanie przez Niemców w 1945 roku filmu *Młyny śmierci* (*Todesmühlen*), pokazującego rzeczywistość obozów śmierci, nie wytworzyło poczucia winy, bo przecież nikt o nich nie wiedział. W procesach norymberskich i wszystkich innych, w których sądzono ludobójców, żaden, ani jeden ze skazanych nie poczuwał się do winy i też o niczym nie wiedział (to ogromny temat). Nawet komendanci obozów śmierci o niczym nie wiedzieli. Powszechna natomiast była wiedza o krzywdzie, jak spotkała miliony wypędzonych Niemców. *Pytanie o winę* Karla Jaspersa¹⁹ było filozoficzne, skierowane do wąskiej elity.

Narzucony z zewnątrz rozrachunek z przeszłością nigdy nie był skuteczny, a w miarę narastania zimnej wojny bezwstydnie niekonsekwentny, kiedy to starano się wzbudzić prozachodnie sympatie Niemców przez ostentacyjne niepodkreślanie spraw przeszłości. Tych niewielu skazanych ludobójców nazywano w Niemczech często więźniami politycznymi. Mówiono głośno i bez żenady o sprawiedliwości zwycięzców i wołano o powszechną amnestię dla zbrodniarzy hitlerowskich. Instytucje powołane do reedukacji i zmiany mentalności niemieckiej – naukowe, oświatowe i religijne – z wielkim trudem torowały sobie drogę do społecznej świadomości, o co walczył aktywnie, nie tylko intelektualnie, Adorno. Chadeckie partie polityczne rządzące w pierwszych dziesięcioleciach RFN ubrały w demokratyczne kostiumy wielu takich, którzy w domu nosili brunatne koszule i czarne mundury przyrosłe do skóry, ale zgodzili się na przebranie wskutek wymogów realizmu politycznego i skuteczności gospodarczej, o czym jawnie mówiono na zebraniach i konwentykach partyjnych.

Dopiero bunt synów przeciwko przeszłości ojców, przeciwko autoritarnej i narodowo-socjalistycznej podszezwce instytucji demokratycznych ówczesnej RFN, bo to była rzeczywista motywacja rozruchów studenckich w 1968 roku, zapoczątkował autentyczny rozrachunek, który odbywał się już nie w kameralnych dyskusjach filozofów i pisarzy, ale na ulicach. Debata otwarta przez Adorno w 1949 roku słynnym powiedzeniem toczyła się teraz na poziomie ideologicznym w realiach rewolucyjnych, eskalujących później w ideologicznie motywowany krwawy terroryzm. Pytanie o lirykę dało ostatecznie odpowiedź w postaci zamachów politycznych. Pytanie o lirykę nigdy nie dało odpowiedzi innej niż polityczna. Nigdy nie dosięgło analizy warunków kultury, która Auschwitz zafundowała.

W latach siedemdziesiątych, kiedy socjaldemokraci stali się dominującą siłą w RFN, ugruntowano standardy poczucia niemieckiej winy i wstydu. Nawet jeśli wyćwiczone w licznych etiadach i zrytualizowane,

były bezwarunkowe. Nie wzbudzały wątpliwości zakłamaniem. Były wyraźne i czyste jak padnięcie Willy'ego Brandta na kolana przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie. Stworzyli je synowie i ofiary, a nie sprawcy. Doszło do największego zbliżenia między ofiarą a Niemcami, w pojęciu zbrodni niemieckich, w poczuciu winy za czyny nie przez siebie popełnione, w poczuciu wstydu za innych swoich. Przestrzenią tego zbliżenia była – zgodnie z rozróżnieniem Jaspersa – wina metafizyczna. Wszystkie inne winy, tak jak je podzielił filozof: kryminalna wina zbrodniarzy, polityczna tych, którzy pośrednio współtworzyli decyzje, moralna tych, którzy nie mieli odwagi się przeciwstawić – pozostały bezpieczeństwa, nikt się do nich nie przyznał.

To bezwarunkowe wzięcie na siebie win poprzedniego pokolenia było jednak też zasłoną rozwieszoną przez ważne gazety, radio i telewizję, mylnie uważane za miarodajny wyraz opinii publicznej. Za tą zasłoną przy piwie rozprawiał *stammtisch* zupełnie innym głosem. Szeroko pojęte elity, które artykułowały się publicznie, myłono świadomie z opinią większości. Ale wszystkim wpojono standardy przyzwoitości w publicznej debacie, gdzie niesłuchanie rzadko było przekraczane, zaraz zresztą gwałtownie i czujnie je zakrzykiwano. Te standardy były na tyle mocne, że *stammtisch* głosował na demokratów, na dobrobyt i państwo socjalne. To było realne. Resentymenty przeżywano przy piwie.

Widzimy oto, co chcieliśmy powiedzieć wyraźnie, że debata o liryce po Auschwitz rozegrała się przede wszystkim w Niemczech i kulminowała w krwawym terrorze, co jest całkowicie zrozumiałe, bo o niemieckie winy tu chodziło, a nie o pisanie wierszy. Rozegrała się wśród Niemców i wobec Żydów. Jeśli Polacy w niej występowali, to poprzez Holocaust, w jego otoczeniu, w charakterze ogólnego tła, jak w przypadku klęczenia Brandta przed pomnikiem Bohaterów Getta najdobitniej zostało to uwidocznione. Polacy w tej debacie nie mieli własnej podmiotowości, chociaż można znaleźć przykłady o przeciwności wobec tego sądu świadczące. W dobrze pojętym osądzie ogólnym

jednak niemiecka debata wobec Żydów o Auschwitz, jaka by nie była, odbywała się bez istotnego udziału Polaków, co jest niebywałym skandalem. Nikt nigdy nie próbował mu przeciwdziałać, gdyż przede wszystkim nie mieliśmy politycznej samodzielności. A przecież kaliber polskiej literatury, polskich doświadczeń, przede wszystkim dzięki Tadeuszowi Borowskiemu, był i jest bezkonkurencyjny.

Jak bardzo polityka warunkuje możliwości istnienia literatury, pokazuje przykład *Innego świata* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Dzieło to ukazało się najpierw w Londynie po angielsku i stało się od razu kanonem nie tylko literackim w temacie sowieckich łagrów. Dzieło Tadeusza Borowskiego z wielu powodów nie miało szans na taką międzynarodową pozycję.

Natomiast to, co się tyczyło krytyki i nieufności wobec kultury w ogóle, co było istotą wypowiedzi Adorno, nigdy i nigdzie nie zostało podjęte – jeszcze raz to powtórzymy – na płaszczyźnie społecznego dyskursu. Było tylko i wyłącznie domeną gabinetów filozofów i pisarzy. Tadeusz Borowski, autor absolutnie wyjątkowy, ani jego bezprzykładna spuścizna w tej debacie prawie nie zaistniała. Do tragizmu życia Tadeusza Borowskiego dołożyć trzeba bezprzykładny tragizm recepcji jego dzieła.

Żeby powiedzieć wiersz liryczny o najgłębszej skali ludzkiego cierpienia, nie wystarczy jego tekst. Potrzebny jest doniosły głos, który ten tekst ogłosi. Potrzebny jest głos, który ma posłuch, który sprawia, że wszyscy milkną, gdy się rozlega. Potrzebna jest kultura, która taki głos potrafi wykształcić i go pielęgnować. Potrzebne jest społeczeństwo, które taką kulturę potrafi uprawiać nieprzerwanie i niezależnie od kryzysów historii. Inaczej bowiem (nie daruję sobie przytoczenia tej frazy) tak będzie, jeśli już nie jest: *Nad nami noc. Goreją gwiazdy,/ dławiący, trupi nieba fiolet./ Zostanie po nas złom żelazny/ i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.*

- 1 Tadeusz Borowski, *U nas w Auschwitzu*, [w:] tegoż, *Opowiadania*, Warszawa 1972.
- 2 Tamże.
- 3 Czym jest metafizyka?, [w:] Martin Heidegger, *Budować, mieszkać, myśleć*, Warszawa 1977.
- 4 Andrzej Werner, *Zwyczajna apokalipsa. Tadeusz Borowski i jego wizja świata obozów*, Warszawa 1971.
- 5 Jan Błoński, *Piekła Borowskiego*, „Teksty”, 1972, nr 6.
- 6 Tadeusz Borowski, *U nas w Auschwitzu*, dz. cyt.
- 7 Tamże.
- 8 Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą 1973–1979*, Warszawa 1990, s. 140–141.
- 9 Tamże.
- 10 Stanisław Stabro, *Inny świat. Fenomenologia cierpienia*, [w:] tegoż, *Lektury polonistyczne. Literatura współczesna*, t. 1, Kraków 1997.
- 11 Tadeusz Borowski, *U nas w Auschwitzu*, dz. cyt.
- 12 Tamże.
- 13 Stanisław Stabro, *Inny świat...*, dz. cyt.
- 14 Tadeusz Drewnowski, *Ucieczka z kamiennego świata*, Warszawa 1972.
- 15 Lesław M. Bartelski, *Genealogia ocalonych*, Kraków 1985.
- 16 Tadeusz Borowski, *U nas w Auschwitzu*, dz. cyt.
- 17 Theodor W. Adorno: *Kulturkritik und Gesellschaft*. [...] *Gesammelte Schriften*, Band 10.1: *Kulturkritik und Gesellschaft I*, „Prismen. Ohne Leitbild”, Frankfurt am Main 1977.
- 18 Tamże.
- 19 Karl Jaspers, *Die Schuldfrage*, Heidelberg 1946.

SŁOWA KLUCZOWE: **TADEUSZ BOROWSKI, THEODOR ADORNO, AUSCHWITZ, HUMANISTYKA, CIERPIENIE, ŚMIERĆ**

Andrzej Więckowski

The Suffering of Young Borowski

The essay by Andrzej Więckowski *The suffering of young Borowski* considers the most famous statement by a German philosopher Teodor Adorno *Nach Auschwitz ein Gedicht zu schreiben, ist barbarisch* (Writing poetry after Auschwitz is barbaric) and attempts to check if the love letter by Borowski entitled *Farewell to Maria*, written after Auschwitz by a former Auschwitz male prisoner to a female Auschwitz prisoner, could be a negation of the authoritarian statement of the philosopher. For Więckowski the juxtaposition of Adorno's opinion with Borowski's poem is a borderline situation of contemporary humanities, its central issue, which it never actually undertook and which it endlessly escapes. Actually, it escapes not only a presented problem, but most of all the way of existing cultural procedures which hide the problem, if it becomes voiced at all. The procedures make it impossible to regard the problem and push it into false contexts. Więckowski seeks the reasons of the inability to capture suffering and death in their explicitness. He perceives the atrophy of expression in the general development of culture and civilization which become autonomous, and thus inhumane, as systems.

KEYWORDS:

TADEUSZ BOROWSKI, THEODOR ADORNO, AUSCHWITZ, HUMANITIES, SUFFERING, DEATH